

Bendylek

Mały i bardzo puchaty szaro–srebrny szynszylek z ogonkiem podobnym do ogona wiewiórki, tylko rzecz jasna szarego koloru, mieszkał w pewnym sklepie zoologicznym. Bendylek, bo tak brzmiało jego imię, czuł się samotny. W sąsiedniej klatce biegała para białych myszy, a nieco dalej ruda chomiczyca karmiła młode, ale nigdzie, nigdzie nie było innego szynszylka. Bendylek przykładał mały nosek do szyby terrarium i patrzył czarnymi i bardzo bystrzymi oczyma przed siebie. Pewnego dnia do sklepu weszła mała dziewczynka w różowej sukience, różowych bucikach i także różowych kokardach na końcach jasnych warkoczy. W ręce trzymała jakiś kijek zakończony złotą gwiazdką. Dziewczynka rozejrzała się uważnie po sklepie, po czym podeszła do szynszylka i powiedziała:

– Widzę, że jesteś samotny. Jeżeli chcesz znaleźć się w miejscu, które szynszylki kochają najbardziej, zjedź to! – mówiąc te słowa podała Bendylkowi złote ziarenko. Bendylek nie namyślając się długo połknął ziarenko, przymykając przy tym oczy.

Kiedy je otworzył, wokół biegało bardzo dużo szaro–srebrnych szynszylków z białymi brzuskami, zupełnie takimi jak jego.

– Chodź, chodź do nas! – zawołały radośnie, po czym zaczęły ganiać po jasnych pagórkach i skakać po kępkach traw.

Bendylek biegał, brykał i skakał wysoko razem z nimi, a kiedy już trochę zmęczył się, postanowił odpocząć. Usiadł na tylnych łapkach, poruszył długimi wąsikami i rozejrzał się dookoła. Nie było już krat ani sklepu, jedynie piaskowe skały, jasne kamienie i kępki kosmatych traw.

Znużony i rozleniwiony Bendylek położył się w małej grocie skalnej, obok swoich przyjaciół. Wystawał mu tylko łebek. Szare łapki podłożył pod kosmatą buzię i przymknął oczy. Westchnął głęboko raz, i jeszcze raz. Promienie słońca przyjemnie, powoli, leniwie gładziły jego pyszczek żółtymi, słonecznymi palcami. Bendylek wdychał noskiem balsamiczne, górskie powietrze, gdzie zapach trawy mieszał się z zapachem nagrzanego słońcem ziemi. Ten kojący zapach i ciepło stopniowo rozlewały się po całym szynszylkowym ciele: docierały do główki, łapek, ogona. Wietrzyk delikatnie muskał futerko zwierzaka, a do uszu dochodziło delikatne cyk-cyk, cyk-cyk owadów ukrytych w trawie. Szept wiatru, cykanie owadów, szelest skrzydeł ptaków i szum górskiego strumyka płynącego nieopodal skalnej groty tworzyły coś jakby letnią, spokojną muzykę. Obok na rozgrzanych kamieniach wylegiwały się brązowo–złote jaszczurki. Bendylek zasnął. Teraz unosił się na lekkiej pierzastej chmurce. Na sąsiedniej chmurce siedziała dziewczynka w różowej sukience, w dłoni trzymała lody waniliowe w polewie czekoladowej

posypane pokruszonymi orzechami. Ach! Jakie pyszne są te lody. Takie słodkie i przyjemnie chłodne. Lecz co to? Jakieś kap-kap, a potem plast-plast i coś mokrego spadło na nosek Bendylka.

– Może to lody szybko się topią? – pomyślał szynszylek przez chwilę. Otworzył jedno oko, potem drugie i zaczął się przyglądać srebrnej kropli iskrzącej się na czubku jego nosa.

– No tak, to przecież kropla wody z górskiego strumyczka. Szynszylek strząsnął kropelkę, poruszył się i ziewnął. Później już całkiem energicznie otrząsnął się z resztek snu – zupełnie jak mokry, kudłaty pies, który wychodzi z wody. Inne szynszylki też już nie spały i zaczęły brykać. I wszyscy szaro-puchaci w podskokach pobiegli napić się wody do strumyka, a potem... potem być może poszukali jakichś przysmaków, które szynszylki lubią najbardziej.